

[Andrzej Jarczewski](#)
Muzeum w Gliwicach

Prowokacja gliwicka – legendy i fakty

(studium interdyscyplinarne)

Referat wygłoszony na konferencji naukowej, zorganizowanej przez Oddział IPN w Katowicach. 14.10.2009
Niemieckie działania dywersyjne w kampanii polskiej 1939 r.

Na początek – najkrótszy opis tytułowego wydarzenia. Otóż dla III Rzeszy i ZSRR podstawowym warunkiem powodzenia rozbioru Polski było zachowanie bezczynności przez Francję i Wielką Brytanię. Wśród wielu działań, zmierzających do odizolowania Polski od jej nominalnych sojuszników, wyróżniały się – inscenizowane przez Niemcy w sierpniu 1939 – incydenty nadgraniczne, o których sprawstwo obwiniano Polskę. Najsilniejszym echem odbiła się tzw. *prowokacja gliwicka*, czyli napad siedmioosobowej grupy funkcjonariuszy niemieckiej służby bezpieczeństwa na niemiecką radiostację w Gliwicach, dokonany 31 sierpnia ok. godz. 20.00. Napastnicy, udający cywilnych powstańców śląskich, nadali po polsku fragment odezwy: ***Uwaga, tu Gliwice. Radiostacja znajduje się w rękach polskich***... Dwie godziny później radio berlińskie wyemitowało obszerny komunikat o rzekomych atakach powstańców, których wspierać miały regularne oddziały Wojska Polskiego. W ten sposób oskarżono Rzeczpospolitą o rozpoczęcie wojny, a niemieckiego agresora przedstawiono jako ofiarę. Wobec wydarzeń następnego dnia – dla Hitlera incydenty graniczne stanowiły alibi, a dla Francji – jeden z pretekstów do nieudzielenia Polsce pomocy militarnej¹.

1. Z PUNKTU WIDZENIA JĘZYKOZNAWCY...

...fakty to nieciekawy problem. Zwłaszcza jeżeli są relewantnie i zgodnie z historyczną prawdą opisane. Zdarzają się jednak opisy nierelewantne lub z prawdą niezgodne. I takie opisy, jeżeli są powielane, stanowią odrębną kategorię: faktów medialnych. Na tyle ciekawych, że warto im poświęcić kilkustronicową analizę lingwistyczną, zwłaszcza gdy te medialne fakty tworzą długie ciągi, układające się w legendę, w mit, w narrację nie tylko sprzeczną z faktami historycznymi, ale wręcz bezsensowną. Taką, jak mainstreamowa opowieść o prowokacji gliwickiej. W tej opowieści sfera symboliczna oderwała się od realnej, przytłoczyła ją i – w końcu – całkowicie zastąpiła.

¹ [A. Jarczewski, *Provokado. Gliwice 31.08.1939*](#), Gliwice 2009, s. 216.

Zacznijmy od podręcznikowej nazwy napadu na radiostację w Gliwicach, dokonanego 31 sierpnia 1939. Gdy językoznawca słyszy zdanie z jakąś formą czasownika „prowokować”, spodziewa się w tym samym zdaniu również podmiotu i koniecznych dopełnień (bliższego i dalszego). Nie zaszkodziłyby też okoliczniki miejsca i czasu. Oczekujemy więc odpowiedzi na pytanie: **kto, kogo i do czego tam i wtedy prowokował**.

W przeciwieństwie do czasownika – rzeczownikowa nazwa czynności, nawet odczasownikowa, już tak rygorystycznie dookreśleń nie wymaga. Może występować samodzielnie, np. właśnie jako nazwa. Wtedy – pod względem semantycznym – uniezależnia się od swojej podstawy słowotwórczej i nabiera takiego znaczenia, jakie mówiący ma w danej chwili na myśli. Uzgodnienie znaczenia owego rzeczownika między mówiącym i słuchaczem jest często niemożliwe, zwłaszcza gdy wychowali się oni w różnych kręgach kulturowych i odwołują się do nieprzekładalnych, czy wręcz niewyobrażalnych ostensji (jak np. w rozmowie Eskimosa z Tuaregiem na temat pewnych gatunków śniegu lub pustynnego piasku).

W tym miejscu ograniczę się tylko do wypisania kilku (związanych z tematem konferencji) rzeczowników, które mają wprawdzie swoje definicje, ale najczęściej używane bywają bez wnikania w ich ścisłe znaczenie. Na określenie zrealizowanych przez Niemcy działań, poprzedzających atak na Polskę, używamy więc – niekiedy zamiennie, bo ścisła typologia nie została dotąd przeprowadzona² – następujących terminów: dywersja, sabotaż, prowokacja, incydent, akcja, operacja, zamach, napad itp. Dodatkowym utrudnieniem, które należy brać pod uwagę, jest staranie każdego dbałego o styl autora, by w sąsiednich zdaniach zbyt często nie powtarzały się identyczne wyrazy. Stosujemy więc powszechnie różne omówienia i synonimy, które z czasem okazują się coraz bardziej poręczne, niekiedy nabierają własnego życia i – niezależnie od stopnia swej trafności – mogą wypierać i zastępować poprawny termin nie tylko w stylistyce autorów, ale również w świadomości historycznej całych narodów.

1.1. Dowody polskich prowokacji³

W badaniach nad losami terminu „prowokacja gliwicka” pomocna może być pochodząca z roku 1951 książka Edmunda Osmańczyka, zatytułowana „Dowody prowokacji”⁴. Osmańczyk – jak niezbyt przekonująco twierdzi – otrzymał od pewnego niemieckiego prawnika gruby tom akt Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Wewnątrz było kilkaset kart,

² A jednak polska nauka rozpoczęła już porządkowanie tych zagadnień. Poważny wkład wnosi książka T. Chincińskiego *Forpoczta Hitlera. Niemiecka dywersja w Polsce w 1939 roku*, Gdańsk – Warszawa 2010.

³ W swoich publikacjach używam czcionki przekreślonej, by wizualnie zaznaczyć fałsz, zawarty w danym zdaniu lub terminie. W szczególności: termin „~~polskie obozy zagłady~~” i podobne należy zawsze przekreślać, by – w epoce metody „kopiuj-i-wklej” – nie prowokować pojawienia się kolejnych błędów.

⁴ E.J. Osmańczyk, *Dowody prowokacji (nieznane archiwum Himmlera)*, Kraków 1951.

dokumentujących przygotowania do 223 napadów, które miały być przeprowadzone po polskiej stronie granicy i na terenie Wolnego Miasta Gdańsk. Niektóre z tych planowanych akcji rzeczywiście przeprowadzono, co historycy należycie udowodnili. Większość jednak pozostała na papierze z różnych powodów. Niektóre pewnie dlatego, że od razu miały charakter papierowy. W innych może kryć się jakaś dodatkowa tajemnica. Osmańczyk wszak opublikował tylko 23 karty (plus zdjęcia i mapki), a istnienia pozostałych dwustu dokumentów nikt na razie nie potwierdza.

Tu interesujące jest określenie celu tych działań. Otóż – według Osmańczyka – miały one dostarczyć „dowodów polskich prowokacji antyniemieckich”. Ta klasyfikacja jest jak najbardziej poprawna, bo Niemcy w Niemczech (pomijam tu już nazwy urzędów, służb i osób) rzeczywiście przygotowywali napady na mienie Niemców w Polsce, żeby pokazać światu, a zwłaszcza Niemcom w Niemczech, że Polacy w Polsce to bandyci. Prokurowano więc fałszywe prowokacje antyniemieckie. Ale – z punktu widzenia urabiaczy niemieckiej i światowej opinii publicznej – miały to być dowody prowokacji prawdziwych. Oczywiście – polskich. I tak to przedstawiała prasa niemiecka, i takiej terminologii obowiązkowo używali niemieccy dyplomaci, a za nimi media zagraniczne.

Jednak po wojnie dokonuje się asymilacja opisu gliwickiej awantury w cywilizacjach, które nie były mentalnie przygotowane do rozumienia nazistowskiej myśli i praktyki. Światu zabrakło słów. Podobnie – zasób prawa w żadnym kraju nie dysponował relewantnymi kodeksami i nawet nie wiedziano, jak interpretować i jak osądzić zjawisko, które w umysłach ludzkości zaistniało powszechnie dopiero wtedy, gdy mu nadano nazwę: Szoah, Holocaust. A język werbalnej i niewerbalnej komunikacji, w którym wydawano ludobójcze rozkazy (bez wypowiedziania oczekiwanych w takich przekazach słów), do dziś nie został porządnie rozszyfrowany, co pozwala niektórym autorom twierdzić, że Hitler nie wiedział, co faktycznie działo się na jego rozkaz. Bo podpisywane przez Hitlera dokumenty nie zawierały wyrazów, używanych w innych cywilizacjach i w innych czasach w celu nazwania ludożerstwa po imieniu.

Dokonuje się tedy translacja nazistowskiej terminologii niemieckiej na inne języki. Semantyczne subtelności nie są rozpatrywane i np. napad Niemców na radiostację w Gliwicach staje się nie „fałszywym dowodem polskiej prowokacji”, lecz krótko: „prowokacją gliwicką”. Gdyby skrócono to jeszcze bardziej: do gołego rzeczownika „prowokacja”, absurd byłby oczywisty i łatwy do zauważenia, bo wtedy każdy by o podmiot i dopełnienie (kto, kogo) zapytał. Dodano jednak przymiotnik, niby lokalizujący zdarzenie (prawdziwa ale nerelewantna przydawka w funkcji okolicznika miejsca). W istocie – był to nieuświadomiony, powszechnie zaakceptowany akt performatywny: nadanie imienia. A to natychmiast wyklucza dyskusję,

bo z imieniem się nie dyskutuje. Dziś już prostowanie tego błędu raczej się nie powiedzie, zwłaszcza że nie widać zgrabnej, konkurencyjnej nazwy, która mogłaby (również w mediach) walczyć o miejsce dla prawdy terminologicznej. Zostawmy więc tę nazwę i idźmy dalej.

1.2. Unternehmen Tannenberg

Książek, poświęconych prowokacji gliwickiej w całości lub części, naliczyłem dziesiątki. Wzmianek w innych książkach – setki. Wraz z artykułami gazetowymi i stronami internetowymi – robi się z tego nieogarniona chmura tysięcy tekstów. Ale w XX wieku tylko jedna pozycja zasługiwała na uwagę. Jest to dzieło niemieckich autorów Alfreda Spiessa i Heinera Lichtensteina pod zadziwiającym tytułem „Operacja Tannenberg. Pretekst do drugiej wojny światowej”⁵. Książka jest wynikiem solidnego śledztwa, wykonanego przez prokuratora A. Spiessa, który w latach 60. i 70. dotarł do mnóstwa dokumentów i przesłuchał wielu świadków, żyjących wtedy w RFN. Po trzydziestu latach od pierwszego wydania – dzieło Spiessa (H. Lichtenstein był dziennikarzem, wspierającym prokuratora swoim pisarskim talentem) jest wciąż lekturą obowiązkową wszystkich historyków, piszących o akcjach, przeprowadzonych przez Niemców na Górnym Śląsku po niemieckiej stronie granicy z Polską (Gliwice, Stodoły, Byczyna).

Całkowitym przeciwieństwem rzetelnej zawartości tej książki jest jej tytuł. Otóż do tych trzech napadów przyłgnęła w sposób niczym nieuzasadniony nazwa zupełnie innej akcji: „Tannenberg”. Prowokacja gliwicka – jak wynika z licznych wypowiedzi dowodzącego bojówką Alfreda Naujocksa – była operacją do tego stopnia tajną, że nie nadawano jej żadnego kryptonimu. Natomiast prawdziwa „Operacja Tannenberg” – to ogromne ludobójcze przedsięwzięcie, w wyniku którego pod osłoną działań wojennych Niemcy mieli wymordować 61 tysięcy Polaków z warstwy przywódczej (*Liquidierung der polnischen Führungsschicht*). Częściowa realizacja tego planu zakończyła się po dwóch miesiącach śmiercią ponad 20 tysięcy osób⁶. Prawdziwa „Operacja Tannenberg” toczyła się pod osobistym nadzorem Reinharda Heydricha, który również dowodził przygotowaniem do trzech pozorowanych napadów przygranicznych, o których teraz mowa. Wydaje się nieprawdopodobne, by dwóm tak różnej wagi równoległym zadaniom nadawano identyczną nazwę. Nieprawdopodobne – choćby ze względu na możliwość kosztownych (a nieuniknionych w warunkach tajności) pomyłek.

⁵ A. Spiess, H. Lichtenstein, *Unternehmen Tannenberg. Der Anlass zum Zweiten Weltkrieg*, Wiesbaden und München 1979.

⁶ Zob. K. Leszczyński, *Działalność Einsatzgruppen policji bezpieczeństwa na ziemiach polskich w 1939 r. w świetle dokumentów* [w:] Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. XXII, Warszawa 1971, *passim*.

Jeden z niezbyt wiarygodnych świadków, przesłuchiwanym przez Spiessa w sprawie omawianych trzech napadów, Mehlhorn, sporządził notatki w roku 1953 i umieścił je w teczce opisanej „Unternehmen Tannenberg”. To było coś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej. Zawarł tam różne wykręty, pewnie częściowo prawdziwe, ale nie starał się ujawniać swojej wiedzy światu. Kilkanaście lat później, gdy już musiał wykorzystać te notatki do własnej obrony, potwierdził ich autentyczność, uświęcając niejako również i kryptonim⁷.

Te zeznania są nieprzekonujące. Prawdopodobnie rozmawiano o różnych rzeczach u Heydricha, w tym również o prawdziwej „Operacji Tannenberg”, i to – po wielu latach – mogło się w czymś umyśle zlepiać, zwłaszcza że nie należy wykluczyć jakiegoś rodzaju sugestii, czy autosugestii. Każdy z tych świadków przeżył bardzo wiele dramatycznych wydarzeń i rozmów w ciągu następnych sześciu lat, co musiało jakoś ograniczyć miejsce w ich pamięci, przeznaczone na obsługę wydarzeń przedwojennych. Rozstrzygające dla tej kwestii powinno być spostrzeżenie, że kryptonimu „Tannenberg” nie użyto ani razu na piśmie, ani nawet ustnie w planowaniu i prowadzeniu akcji w Gliwicach, Stodołach i w Byczynie.

Mamy więc kwadratowy przykład aktu performatywnego. Po wojnie kryptonim „Tannenberg” okleił prowokację gliwicką, a wszyscy zainteresowani są przekonani, że to imię temu wydarzeniu nadano przed wojną. Nie wiadomo kto, nie wiadomo kiedy i nie wiadomo po co. I nie wiadomo, dlaczego wybrano akurat to imię. Ale fakt musi mieć etykietę, więc ma.

Jest jeszcze jeden, ważny dla Polaków, argument z zupełnie innej półki. Otóż prawdziwa „Operacja Tannenberg” była w rzeczywistości wydarzeniem na miarę Katynia, choć zajmuje w polskiej pamięci historycznej nieporównanie niższe miejsce. Dodatkowe osłabianie wymowy tego okropnego ludobójstwa jakimś granicznym incydentem sprzyja adwokatom sprawców, ale utrudnia prawidłową ocenę zjawisk. Jeżeli więc nie jesteśmy absolutnie pewni, że napad na radiostację miał taki kryptonim, to go nie używajmy.

Zbadania wymaga jeszcze kwestia, czy prawdziwą „Operację Tannenberg” w jakikolwiek sposób uzasadniano, czy usprawiedliwiano ~~polskimi prowokacjami~~ z sierpnia 1939. Gdyby tak rzeczywiście było – pojawiłby się jakiś sensowny łącznik między tymi dwoma akcjami. Na razie jednak wygląda na to, że wszystkie incydenty graniczne wykorzystano raczej jako alibi wobec wojny z Polską, a nie jako pretekst do zemsty na Polakach, mordowanych tysiącami w „Operacji Tannenberg”.

⁷ Zob. A. Spiess, H. Lichtenstein, *op. cit.*, s. 18. Kwestia ta powraca w zeznaniach innego świadka, Hellwiga, który mówi, że taka nazwa była w sierpniu wymieniana, ale nie przytacza kontekstu. *Ibidem*, s. 25.

2. Z PUNKTU WIDZENIA INŻYNIERA...

...tylko fakty są ciekawe. Inżynier nie filozofuje, lecz bada rzeczy takie, jakie są. Opisuje, jak wtedy działała radiostacja, gdzie które urządzenia się znajdowały i jaką pełniły funkcję. Od razu też przyjmuje, że zeznania najważniejszych świadków muszą być zweryfikowane pod względem fachowym. Nie dlatego, że ci świadkowie kłamali. Nie. Oni po prostu nie mieli pojęcia, o czym mówią. Mogli patrzeć na zjawiska elektryczne, mogli dotykać urządzeń, mogli je nawet włączać i wyłączać, ale jeśli nie znali podstaw elektrotechniki, to ich wypowiedzi na tematy radiowe należy odczytać ze zrozumieniem na nowo.

2.1. Nadajnik awaryjny

W roku 2009 udostępniono w internecie liczne dokumenty z norymberskich przesłuchań Naujocksa (dowódcy napastników), dokonanych w roku 1945⁸. Dzięki temu można dziś sprawniej niż kiedykolwiek konfrontować słowa i fakty. W serwisie footnote.com⁹ znajduje się m.in. angielszczyzny opis napadu na radiostację autorstwa samego Helmuta Naujocksa. Dokument ten zyskał rangę tekstu kanonicznego i był tysiącokrotnie bezkrytycznie cytowany w różnych publikacjach. Tymczasem należałoby rozinterpretować ponownie każde zdanie, bo choć ujawniono tam sporo prawdy, to jeszcze więcej zatajono, a trochę przekłamano świadomie lub z powodu ignorancji. Tu przeanalizuję tylko jedno zdanie, opatrzone w tym dokumencie cyfrą 6. W wersji angielskiej (a ta wersja zadecydowała o światowej, również polskiej percepcji prowokacji gliwickiej) interesujący inżyniera fragment ma brzmienie następujące:

*“6. We seized the radio station as ordered, broadcast a speech of three or four minutes over an **emergency transmitter**, fired some pistol shots and left”¹⁰.*

Polscy translatorzy skorzystali ze słownika i „emergency transmitter” przełożyli na „nadajnik zapasowy”. Czytelnik dowiaduje się więc, że w gliwickiej radiostacji były dwa nadajniki: normalny i awaryjny, o którym dodawano, że „nie miał zasięgu”, co prowadziło do kolejnych dezinterpretacji. Tymczasem naprawdę był tam wtedy tylko jeden nadajnik i to o zasięgu takim, że *Gleitwitzer Sender* był odbierany (po zachodzie słońca) nawet w Nowym Jorku!

⁸ Naujocks zeznawał jako świadek w sprawie różnych zbrodni, ale nie był sądzony, gdyż zdołał w porę uciec z obozu dla internowanych, urządzonego na norymberskim stadionie. Cytowany tu dokument pochodzi z postępowania przygotowawczego.

⁹ <http://www.footnote.com/image/232386004/1945%7CNaujocks/#232386850>

Zarówno sporządzony przez Naujocksa oryginał niemiecki, jak i tłumaczenie angielskie opatrzone datą 19 listopada 1945 (19 November 1945). Ten ważny dokument bywa cytowany często z błędną datą: 20 listopada 1945.

¹⁰ *Ibidem*.

Okazuje się, że wśród licznych protokołów z przesłuchań Naujocksa – znajduje się dokument, sporządzony przez niego po niemiecku. Dysponujemy wersją maszynopisową z licznymi odręcznymi poprawkami¹¹. Można więc mniemać, że Naujocks opisał napad na radiostację odręcznie po niemiecku, następnie ktoś to przepisał na maszynie, a Naujocks dokonał jeszcze kilku drugorzędnych korekt. I w tym niemieckojęzycznym maszynopisie odpowiedni fragment wygląda tak:

*“6. Wir nahmen die Radio Station wie befohlen, hielten eine drei oder vier Minuten lange rede über einen **Notsender**, schossen einige Pistolenschüsse ab und verließen den Platz“¹².*

W oryginale mamy „Notsender”. Słowniki faktycznie każą ten wyraz tłumaczyć na angielski jako „emergency transmitter”, ale Naujocks – pisząc „Notsender” i nie znając się na radiotechnice – mógł mieć na myśli tylko to, że komunikat nadawany był inaczej niż zwykle, że użyto czegoś nie za bardzo standardowego. Dokładniejsze przebadanie aspektów technicznych pozwala z całą pewnością orzec, że użyto poprawnie jedyne istniejącego tam nadajnika, który cały czas pracował z mocą znamionową, ale wykorzystano tzw. mikrofon burzowy. Potwierdzenie tej interpretacji znajdujemy na 9. stronie protokołu z przesłuchań, opatrzonego datą 12 września 1945 roku, sporządzonego zapewne tylko w języku angielskim:

*„As we didn't know the technicalities, we just took one **emergency microphone** and spoke over that”¹³.*

Czyli – nie znając się na technikaliach – wzięli jakiś awaryjny mikrofon (niem.: *Notfall-Mikrofon*) i spiker przez ten mikrofon wygłosił komunikat. Z cytowanego zdania też wynikły później kolejne dezinterpretacje, jakoby Naujocks przyniósł mikrofon zapasowy z sobą. Ale to domniemanie nie znajduje żadnego potwierdzenia. Natomiast w radiostacji znajdował się tzw. mikrofon burzowy (fachowa nazwa niemiecka: *Sturmmikrofon*), służący do zawiadomienia słuchaczy o chwilowej przerwie w nadawaniu, co szerzej opisałem w innym miejscu¹⁴. Napastnicy wymusili wydanie tego mikrofonu, a załoga nie stawiała oporu.

2.2. Po drabinie

W roku 2005 w „Magazynie Sztuki” pojawia się wielostronicowy komiks, opowiadający o prowokacji gliwickiej¹⁵. Inżynier nie interesuje się zbytnio dialogami i strojami, ale wszelkie błędy techniczne, zwłaszcza konstrukcyjne, dostrzeże na rysunkach natychmiast.

¹¹ <http://www.footnote.com/image/#232386795>

¹² <http://www.footnote.com/image/#232386812>

¹³ <http://www.footnote.com/image/#232387383>

¹⁴ A. Jarczewski, *op. cit.*, s. 27.

¹⁵ Prowokacja gliwicka. Komiks Rafała Szłapy i Andrzeja Tuziaka, „Magazyn Sztuki” nr 34/ 2005 (pierwodruk: „Gazeta Wyborcza Katowice”).

A jest tych błędów tyle, ile pokazanych obiektów. Dziesiątki. Większość drobnych pomyłek nie ma znaczenia. Na przykład budynki (rys. 1) są odrysowane realistycznie, ale akurat nie te, które tam są. Wieża (rys. 2) też ma inną konstrukcję; sześciometrowej wysokości sala nadajnika jest na rysunku tak niska, że widać na suficie jarzeniówki, których oczywiście tam pod żadnym pozorem być nie mogło, bo przy panującym wokół nadajnika natężeniu pola nie można by ich zgasić, zresztą do roku 1939 świetlówki nie były w Europie produkowane.

Od razu widać, że rysownik nie był w radiostacji i nie oglądał nawet zdjęć. Skupił się na przeżyciach bohaterów, więc można mu wybaczyć. Ale jeden szczegół wywraca całą narrację. Otóż napastnicy wchodzą do budynku radiostacji... ~~po drabinie~~ (rys. 3). By dociec przyczyny tego błędu wpisuję do google.pl nazwiska autorów komiksu i... gdzieś na jakimś forum¹⁶ rysownik przyznaje, że w Gliwicach nie był, ale czytał książkę Andrzeja Szefera¹⁷ i stamtąd dowiedział się o tej drabinie. Sprawdźmy więc, co też napisał Szefer w swoim dziele, które przez długie lata było w Polsce najważniejszym źródłem wiedzy o prowokacji gliwickiej:

„(...) podchodziło pięciu mężczyzn w cywilu i **po drabinie** pomiędzy szklanymi ścianami wspinało się do studia”¹⁸.

Teraz jednak trzeba dociec, skąd A. Szefer, który też nie zaszczycił swoją obecnością obiektu, o którym napisał książkę, otóż skąd Szefer wziął tę Sanderusową drabinę. I tu tropy prowadzą do przywoływanej już książki Spiessa/Lichtensteina, którą profesor Szefer fragmentami po prostu przepisywał. Ale przepisywał niestarannie, bo w odpowiednim miejscu Spiess cytuje zeznania pewnego świadka:

“(...) *fünf Männer in Zivilkleidung hereinkamen und über **die Treppe** zwischen den Glaswänden zum Senderraum heraufstiegen*”¹⁹.

„Die Treppe” to jednak „schody”. Czyli Szefer nie korzystał bezpośrednio z dzieła Spiessa. Może więc był jakiś pośrednik? Tak, był. Ostateczne wyjaśnienie przynosi „Życie Literackie” z września 1979 roku²⁰, które drukowało przekłady odcinków książki Spiessa, ukazujące się w kolejnych sierpniowych numerach tygodnika „Der Spiegel”. I właśnie w tym pośpiesznym tłumaczeniu Ireneusza Kani znalazła się owa nieszczęsna „drabina”, która tak owocnie weszła później do literatury tako naukowej, jako i komiksowej.

¹⁶ m.in.: <http://www.forum.gildia.pl/index.php?topic=15773.0;wap2>

¹⁷ A. Szefer, *Hitlerowska prowokacja w Gliwicach oraz w Stodolach i Byczynie 31 sierpnia 1939 roku*, Gliwice 1989.

¹⁸ *Ibidem.*, s. 39-40.

¹⁹ A. Spiess, H. Lichtenstein, *op. cit.*, s. 139.

²⁰ „Życie Literackie” nr 1441, 9 IX 1979.

Dodać jeszcze należy, że w radiostacji nigdy nie było pomieszczenia, które po polsku można by nazwać studiem. Również niemiecka nazwa, użyta przez Naujocksa, „Senderaum”, odpowiada raczej temu, czego tam się spodziewał, a nie temu, co zastał. Gdy jednak Naujocks składał zeznania, ważne były inne sprawy, a okoliczności uboczne obsługiwano wyrazami, które nie musiały być zbyt precyzyjne. Warto więc zapytać, co interesowało śledczych i – jeśli to możliwe – zbadać, czy poprawki w tekście niemieckim czynione były ręką Naujocksa.

3. Z PUNKTU WIDZENIA PRZESŁUCHIWANEGO...

...ważne są okoliczności składania zeznań i stosowane wówczas procedury śledcze. Prowokacja gliwicka wciąż jeszcze nie jest tematem zamkniętym. Prawdopodobnie wszystkie ważniejsze aspekty techniczne zostały już opisane i ostatecznie zinterpretowane. Ale do wyjaśnienia pozostało wiele.

3.1. Naujocks niewinny

By zrozumieć, co naprawdę powiedział Naujocks w Norymberdze, koniecznie trzeba poznać sytuację w pokoju przesłuchań i sposób sporządzania dokumentów. Błędem jest traktowanie zeznań Naujocksa jako prawdy objawionej. Stwierdzam to na podstawie własnych doświadczeń w roli osoby wielokrotnie przesłuchiwanej w różnych sprawach. Raz nawet zdarzyło mi się z całym przekonaniem zaprzeczyć własnym zeznaniom, złożonym kilka lat wcześniej. Działo się to w gliwickim sądzie. Odpowiadając na jakieś pytanie pozwoliłem sobie na odpowiedź ironiczną, którą pani sędzia potraktowała dosłownie. Ja znów nie zwróciłem uwagi na to, że protokołowane są nie moje słowa, ale to, co sędzina mówi do maszynistki. Lekko stresująca sytuacja, hałas maszyny do pisania i ogólnie kiepska akustyka. Wszystko to sprawiło, że swoich własnych zeznań po latach nie rozpoznałem. Domyślałem się, że z niektórymi zeznaniami Naujocksa mogło być podobnie, zwłaszcza że żadnego protokołu on nie podpisał.

Prowokacja gliwicka, obecna w literaturze naukowej, pięknej i we wszystkich mediach, nie doczekała się jeszcze swojego doktoratu, choć koniecznie go potrzebuje. Przyszłego autora przestrzegam jednak przed bezkrytycznym odczytywaniem omawianych tu dokumentów. Po pierwsze – trzeba się dowiedzieć, czy wtedy zapisywano słowa przesłuchiwanego, czy przesłuchującego; Naujocks wszak mówił po niemiecku, a prokurator po angielsku. Po drugie – należy rozpoznać, jakie stosowano wówczas skróty, jakie uprawnienia miał tłumacz przysięgły, co zwykle pomijano itd. To źródło wymaga starannej, interdyscyplinarnej krytyki, której dotychczas nie przeprowadzono.

Należy też zauważyć, że przesłuchania prowadzono pod kątem kryminalnym a nie historycznym. Śledczych interesowały przede wszystkim morderstwa, bo przypisanie zbrodni poszczególnym osobom byłoby sukcesem prokuratorskim. Dziś możemy więc tylko odnotować, że ówczesni prokuratorzy brnęli w ślepe uliczki i nie zadawali najważniejszych pytań. Protokoły zawierają liczne powtórzenia drugorzędnych ustaleń, a to, co dziś by nas interesowało, zawarte jest nawet nie pomiędzy wierszami, ale wręcz poza tekstem głównym.

Szczegółowe dochodzenie w sprawie pojedynczych zabójstw nie wnosi nic ważnego do zrozumienia procesu historycznego. Z kolei Naujocks bronił własnej skóry. Pomniejszał swój udział w wydarzeniach, których wagę też na wszelki wypadek starał się obniżyć. Nie przyznał się do żadnego z licznych morderstw, które zapewne popełnił. I tak prowadził swoje zeznania, by na ich podstawie nie dało się go o nic oskarżyć. Miało to ciekawe konsekwencje.

3.2. Pierwsza ofiara II wojny światowej

W naszej sprawie chodziło o śmierć jednego człowieka, Franciszka Honioka, nazywanego „pierwszą ofiarą II wojny światowej”. Nawiasem mówiąc – nawet ta nazwa jest błędna, bo przesuwa początek wojny na 31 sierpnia 1939 roku. Tymczasem w polskim interesie historycznym jest obrona pierwszego dnia września jako daty rozpoczęcia wojny. Jeżeli sami coś zaczniemy przesuwać – historykom, a zwłaszcza politykom innych nacji łatwiej będzie obstać przy najzupełniej dowolnych datach, znaczących włączenie się do wojny ich krajów.

Nie ulega wątpliwości, że Honioka zastrzelono na osobisty rozkaz Naujocksa. Sam dowódca oddziału na pewno tego nie zrobił, bo taka wówczas panowała moda w tym środowisku, ale nie do pomyślenia jest, by ktokolwiek w tak specyficznej akcji pociągnął za spust bez wyraźnego rozkazu. Co więcej – morderstwa dokonano z całą pewnością wewnątrz radiostacji, po zamknięciu drzwi. Przecież w tym dniu i w tym miejscu jakiegokolwiek odgłosy strzelaniny musiałyby ściągnąć na głowy napastników niemałe kłopoty.

Ale Naujocks zeznaje, że rannego Honioka widział... na zewnątrz budynku. A skoro na zewnątrz, to może strzelali doń gestapowcy, którzy go przywieźli? A może przywieźli zabitego? No bo przecież nie do pomyślenia jest, by on sam robił tyle hałasu. Przesłuchiwanemu Naujocksowi chodziło tylko o zasianie wątpliwości, uniemożliwiających skazanie a nawet oskarżenie. W ten sposób samoobrona Naujocksa zapoczątkowała kolejny mit, który – kilkanaście lat później – twórczo wykorzystał Gerhard Klein w enerdowskim filmie „Der Fall Gleiwitz”. Ów sławny film, kręcony w radiostacji w roku 1961, kończy się właśnie sceną zabójstwa na zewnątrz budynku. Autorowi scenariusza, Wolfgangowi Kohlhaase, zależało na wyrażeniu obrazem potępienia dla zbrodni i filmowym mordercą uczynił jednak Naujocksa.

Stoi on na tle wieży i – bez pośpiechu – kilkakrotnie strzela z broni długiej (której przecież nie miał) do Honioka, po czym wraz z resztą bandy oddala się... nie, nie do samochodów, zaparkowanych naprawdę przy ul. Tarnogórskiej, lecz w przeciwnym kierunku, w stronę wieży, bo ten kadr pod względem wizualnym lepiej się komponował.

To absurdalne zakończenie filmu okazało się kolejną, absolutnie niezamierzoną prowokacją. Otóż prokurator Spiess – po obejrzeniu tego filmu w RFN – stwierdził, że jeszcze jedna zbrodnia hitlerowska nie została osądzona i rozpoczął śledztwo, które zaowocowało książką, o której kilka razy już była mowa. Tylko książką, bo Naujocks zmarł w roku 1966.

I takich ciągów czy mitów narosło wokół prowokacji gliwickiej mnóstwo. Jak już mowa o filmach – warto odnotować tytuł polskiego filmu na ten temat: „Operacja Himmler” (Zbigniew Chmielewski, 1979). Wobec nazwy „Unternehmen Tannenberg” należy stanowczo protestować, natomiast „Operacja Himmler” nie zasługuje nawet na polemikę. To jest tytuł filmu. I tyle. A film całkiem niezły. Istnieją również inne nazwy, nadawane prowokacji gliwickiej w różnych czasach przez różnych autorów. Na przykład Andrzej Duma napisał powieść, zatytułowaną „Operacja »Sender Gleiwitz«”²¹, a Emil Aleksander w wydanej w serii „Z tygrysem” książce „Tu Radio Gliwice” nazywa trzy napady z 31 sierpnia „Akcją Himmler”²².

4. Z PUNKTU WIDZENIA HISTORYKA...

...ważna jest prawda, a równie ważna – odpowiedzialność za prawdę. Anglosaska literatura naukowa dysponuje całym systemem wzajemnych cytowań i odniesień, dotyczących prowokacji gliwickiej. Wszystkie znane mi teksty z tego kręgu opierają się na dowolnych interpretacjach cytowanych tu, anglojęzycznych dokumentów z Norymbergi, zupełnie ignorując postęp, jaki się w tej materii dokonał w literaturze niemieckiej²³ i – ostatnio – polskiej²⁴.

²¹ A. Duma, *Operacja „Sender Gleiwitz”*. Muzeum w Gliwicach dysponuje tym utworem w postaci 12 wycinków z Magazynu Niedzielnego „Trybuna Robotniczej”, oprawionych introligatorsko (bez daty i opisu).

²² E. Aleksander, *Tu Radio Gliwice*, Warszawa 1959.

²³ Zwiastunem – być może – przełamania tej tradycji jest numer 142/2009 kwartalnika „After the Battle”, w połowie wypełniony materiałami na temat trzech napadów (Gliwice, Byczyna, Stodoły). Autor rozprawy zatytułowanej „The Gleiwitz Incident”, Dennis Whitehead, korzystał obficie z książki Spiessa/Lichtensteina, natomiast bardziej oszczędnie z konsultacji, udzielonych mu przez autora niniejszego opracowania. Stąd też powielanie „~~Unternehmen Tannenberg~~” i inne uproszczenia. Ale przynajmniej nie ma już mundurów w Gliwicach.

²⁴ Należy jednak odnotować prawdziwy wysyp (w roku 2009) kilkudziesięciu publikacji prasowych w renomowanych dziennikach i czasopismach zachodnioeuropejskich, odzwierciedlających już polskie osiągnięcia, zwłaszcza w sferze interpretacji wydarzeń z sierpnia 1939 r. Było to wynikiem zwiększonego (z okazji 70. rocznicy) zainteresowania mediów światowych tą problematyką, co zaowocowało odwiedzinami licznych dziennikarzy europejskich i nielicznych z Ameryki Północnej. Radiostację filmowali też reporterzy z ponad 20 telewizji światowych, w tym – po raz pierwszy – z trzech telewizji rosyjskich. Na godzinę przed wystąpieniem premiera Putina na Westerplatte 1 września 2009 r. – telewizja RenTV nadała w Moskwie 15-minutowy reportaż, kręcony przez osiem(!) godzin kilka dni wcześniej w Radiostacji (polskie telewizje goszczą tu często, ale kręcą tylko tyle, ile puszczają).

4.1. Bullock o prowokacji

Najlepiej w Polsce znany przykład anglosaskiej narracji o sierpniu 1939 roku znajduje się w „Bożym igrzysku” Normana Daviesa, co obszernie zacytowałem i przedyskutowałem w „Provokado”²⁵. Teraz pokażę, co na ten temat ma do powiedzenia Alan Bullock, którego dzieła – zapewne bardzo dobre w innych punktach – są dowodem kompletnego niezrozumienia nie tylko Polski i Europy Środkowo-Wschodniej, ale przede wszystkim sowietów.

„Konieczny »incydent« został zorganizowany przez SS, które zaaranżowało rzekomy atak polski na radiostację w przygranicznym mieście Gliwice, gdzie brało udział dwunastu czy trzynastu przestępców przebranych w polskie mundury, których zastrzelono i pozostawiono na miejscu, żeby przedstawiciele prasy mogli ich sfotografować”²⁶.

W opisie Bullocka wszystko jest błędem. Od SS (organizatorem wszak było SD) do prasy (przedstawiciele nie dopuszczono). Zgadza się tylko „radiostacja w przygranicznym mieście Gliwice”. Ten cytat znalazł się tu nie po to, by dyskutować z zawartymi tam tezami, lecz tylko – by unaocznić głębię ignorancji w dziełach najbardziej szacownych klasyków. Dziesiątki innych autorów piszą tak samo lub podobnie, z własnymi ozdobnikami, zawsze oddalającymi czytelnika od szansy zrozumienia ówczesnych procesów dziejowych.

Bullock bezkrytycznie ulega perswazji, zawartej w retoryce komunistycznej i nazistowskiej. Z jednej strony całkiem poważnie pisze o propozycji Klimenta Woroszyłowa, złożonej w sierpniu Anglikom i Francuzom, nie dostrzegając, że była to w istocie próba inkorporacji Polski pod pozorem przeprowadzenia 9,5 tys. czołgów i 136 dywizji radzieckich do granicy Polski z III Rzeszą. Z drugiej strony – powieliła tezę, że żądania Hitlera wobec Polski były w gruncie rzeczy umiarkowane (chodzi o Gdańsk, korytarz i pakt antykominternowski)²⁷.

4.2. Przemoc terminologiczna

Niemcom – jeszcze przed Hitlerem – udało się uplasować w światowej terminosferze politycznej pojęcie „korytarza”, implikujące w prostym umyśle słuszne racje tych, którzy powinni mieć prawo korzystania z wolnego przejścia przez ów korytarz. Przecież w tymże prostym umyśle „korytarz” jest to część hotelu czy mieszkania, prowadząca od pokoju do pokoju. Same pozytywne skojarzenia. Tymczasem Polska – w słynnym wystąpieniu sejmowym ministra Józefa Becka z 5 maja 1939 roku – przeciwstawia „korytarzowi” termin kompletnie niemedialny: „województwo pomorskie”. Żaden autor na świecie, nie wyłączając Polaków, nie przyjmuje polskiego punktu widzenia i polskiej terminologii. Dokładnie wszyscy piszą o „korytarzu“!

²⁵ A. Jarczewski, *op. cit.*, s. 211.

²⁶ A. Bullock, *Hitler i Stalin. Żywoty równoległe*, Warszawa 1994, t. 2, s. 113.

²⁷ A. Bullock, *op. cit.*, s. 112.

Nawet takie drobne „wrzutki“ językowe mają ogromne znaczenie. Później przez całe pokolenia używany jest **język przemocy terminologicznej**. A Polacy nie tylko nie bronią się przed agresją antypolskich terminów (para)naukowych, ale nawet sami szydzą z tych Polaków, którzy ten rodzaj symbolicznej przemocy (obecny dziś np. w frazeologii tzw. wypędzonych) wskazują. W rezultacie nie tylko Bullock popełnia błędy. To cały świat używa języka, który pogarsza emocjonalne położenie Polski każdym niemal wyrazem. Dokładniej – nie każdym w ogóle, ale każdym pod tym względem relewantnym, czyli tym, który w konfrontacji z prawdą historyczną przedstawia Polskę i Polaków w świetle niekorzystnym, a Niemcy i – w jeszcze większym stopniu ZSRR – w świetle korzystnym. Musimy temu przeciwstawić własne terminy i argumenty przynajmniej do czasu, aż nacjonalistyczne fantasmagorie przestaną być wykorzystywane do piętnowania lub wywyższania jakichkolwiek narodów i grup.

Już powierzchowne zbadanie gliwickiego napadu pozwala stanowczo powiedzieć, że nikt nikogo do niczego tam nie prowokował, a jeśli ta akcja miała jakikolwiek cel, to było nim właśnie ustrzeżenie III Rzeszy od wojny europejskiej czy światowej, ograniczenie walk do terytorium jednego państwa i zabezpieczenie zachodniej granicy Niemiec w czasie dokonywania rozbioru sąsiedniego kraju. Ale termin „prowokacja gliwicka” istnieje i tak się zadowolił w historiografii, że chyba nie da się go zastąpić niczym innym. Może tylko trzeba czasem dodać jeden przymiotnik i pisać: „niemiecka prowokacja gliwicka”. Bo niektórzy Europejczycy są przekonani, że sprawcami prowokacji byli naziści polscy. Taką wiedzę reprezentują na przykład Hiszpanie i Białorusini, którzy niedawno odwiedzili Radiostację.

5. Z PUNKTU WIDZENIA PRZEWODNIKA...

...przedmiotem badania naukowego mogą być nie tylko wielkie wydarzenia historyczne, ale i małe sprawy codzienne, zwłaszcza jeżeli są powtarzalne i jeżeli z tych badań można wyciągać użyteczne wnioski. Od ustanowienia Muzeum w murach Radiostacji (2005), przybyły tam tysiące grup wycieczkowych, w których znajdowali się przedstawiciele co najmniej 68 państw. Tak wielka próba porównywalnych pod jakimś względem zdarzeń wymusza wręcz prowadzenie systematycznych obserwacji zarówno cech stałych i powtarzalnych, dominujących w tych grupach, jak i pewnych osobliwości, czy wręcz dewiacji. Kilka spostrzeżeń opublikowałem w „Provokado”²⁸, a tu opiszę kolejne.

Otóż młodzież niemiecka jest bez porównania lepiej przygotowana do rozumienia zjawisk, zachodzących w Europie w latach trzydziestych XX wieku, niż młodzi Polacy. Ci wiedzą o tej dekadzie tyle, co i o latach trzydziestych wieku X albo nawet V. Kompletnie nie! Z Niemcami można czasem przynajmniej pospierać się o ocenę pewnych zjawisk. Z Polakami nie udaje się wchodzić w żadne dyskusje (oczywiście – są liczne wyjątki). Polakom należy cierpliwie i wielokrotnie powtarzać podstawowe informacje ze świadomością, że wszyscy, nawet studenci historii(!!!), dowiadują się o wielu rzeczach po raz pierwszy w życiu.

²⁸ A. Jarczewski, *op. cit.*, s. 191-196.

5.1. ~~Der Anlass zum Zweiten Weltkrieg~~

Wizytujący Radiostację Niemcy, zwłaszcza starsi, pozwalają też poczynić inne, naprawdę zaskakujące spostrzeżenia. Weźmy więc na warsztat drugą część tytułu książki Spiessa i Lichtensteina: „Der Anlass zum Zweiten Weltkrieg“. Skąd wziął się ów „Anlass“, tzn. pretekst? Wyjaśnienie tego dziwactwa nasunęło mi się w trakcie licznych spotkań z turystami niemieckimi w Radiostacji Gliwice, której jestem kierownikiem. Otóż, gdy (pierwszy raz mimochodem, a w kolejnych wykładach dla Niemców z naciskiem) mówię, że wojna z Polską zaczęła się 1 września o godz. 4.45 – prawie zawsze ktoś z grona słuchaczy poprawia mnie i twierdzi, że wojna rozpoczęła się o godz. 5.45, co podchwytyją natychmiast inni. Początkowo pomyślałem, że w roku 1939 polskie zegary były przesunięte o godzinę względem niemieckich. Sprawdziłem i okazało się, że w obu krajach obowiązywał ten sam czas urzędowy. Co więcej, literatura naukowa i niemieckie podręczniki szkolne też poprawnie podają – zgodną z rozkazem, podpisanym przez Hitlera – godzinę 4.45. W takim razie skąd się wzięła 5.45?

Odpowiedź znalazłem w mowie Hitlera, wygłoszonej 1 września o godz. 10.00 dla członków Reichstagu w Operze Krolla. Otóż Hitler wypowiedział wtedy tysiącokrotnie powielane zdanie: ~~„Od godziny 5.45 odpowiadamy ogniem“~~²⁹. Hitler albo nieświadomie pomylił się o godzinę, albo może zrobił to celowo, żeby jakoś wzmocnić tezę o obronnym charakterze własnych działań, jakby sugerował, że ~~Polacy zaatakowali nas o świcie, a my daliśmy im jeszcze godzinę na opamiętanie~~ (to jest tylko próba zdekodowania zakłamanego komunikatu, wypowiedzanego pod wpływem silnych i w owej chwili zapewne autentycznych emocji).

Nie mogę tu nie odnotować sprytnej perfidii zacytowanego zdania. Hitler mówi, że ogniem „odpowiadamy“! Nieważne, że w warstwie bezpośrednio informacyjnej każdy Niemiec doskonale widzi kłamstwo. Jest jeszcze warstwa emocjonalna, którą się dekoduje następująco: *może to „odpowiadanie ogniem“ nie jest takie dosłowne, bo przecież wiadomo, że pierwsi zaczęli strzelać Niemcy, ale skądinąd wiadomo też, że Polacy jakoś nas prowokowali, że odmówili przyjęcia umiarkowanych żądań, że nie poszli na najmniejsze nawet ustępstwo w sprawie korytarza itd.*

Co z tego wynika? Ano to, że Niemcy uczą się historii na przemówieniach Hitlera! Że mówią Hitlerem, a przez to sprawiają, że Hitler wciąż mówi nimi. Od razu zaznaczam, że poprzednie zdanie nie ma w najmniejszym stopniu charakteru antyniemieckiego. Pokazuję tylko kolejny przykład przemocy terminologicznej. Niektóre słowne wytrychy w sposób dawno zamierzony otwierają pewne zamki w wielu głowach przez pokolenia; również w Polsce!

²⁹ W oryginale: „Seit 5.45 wird jetzt zurückgeschossen“. Tekst przemówienia zob. <http://www.nationalsozialismus.de/dokumente/textdokumente/adolf-hitler-rede-vor-dem-reichstag-01091939> Wersja dźwiękowa np. http://de.encarta.msn.com/media_121625395_761556540_-1_1/Adolf_Hitler_%E2%80%9ESeit_5_45_Uhr_wird_zur%C3%BCckgeschossen%E2%80%9D.html

5.2. Pretekst do wojny

Zamiast narzekać na Niemców – sprawdźmy, dlaczego w polskiej retoryce w ogóle pojawił się zwrot „pretekst do wojny”? Przytoczmy w tym celu dwa zdania z przemówienia Hitlera, wygłoszonego w Obersalzbergu do wyższych dowódców *Wehrmachtu* 22 sierpnia 1939 roku. Te dwa zdania cytuje się powszechnie, by pokazać makiaweliczny styl myślenia Hitlera. Przy okazji dokonuje się jednak niezamierzona operacja na świadomości historycznej. Oto te zdania.

„Dam propagandowy pretekst do rozpętania wojny, obojętne, czy wiarygodny. Zwycięzcy nikt później nie pyta, czy powiedział prawdę, czy też nie”³⁰.

Zwróćmy uwagę na datę. Stalin właśnie uzgodnił z Hitlerem wszystkie aspekty rozbioru Polski i podziału Europy na sfery wpływów. Ribbentrop przygotowuje się do wylotu do Moskwy, by podpisać kwity, przygotowane na niższym szczeblu. Za chwilę – zorientowawszy się w nastrojach najwyższych dowódców – *Führer* wyda rozkaz, że atak na Polskę ma się rozpocząć 26 sierpnia o godzinie 4.30...

Później politycy i historycy tę część przemówienia Hitlera powiążą (oczywiście słusznie) z napadem na radiostację. I znów, podobnie jak w wypadku terminu „prowokacja gliwicka”, posłużą się po wojnie aparatem pojęciowym świata przedwojennego i znów ograniczą się do translacji nie z cywilizacji na cywilizację, ale – ze słowa w słowo. Skoro Hitler, mając na uwadze napad w Gliwicach, mówi po niemiecku o „propagandowym pretekście do rozpętania wojny”, to w uproszczonym dosłownym tłumaczeniu można prowokację gliwicką nazwać „pretekstem do wojny”. A później, gdy już tę wojnę nazwano „drugą światową”, rozszerzono prefiguratywną nazwę prowokacji gliwickiej do sloganu: „pretekst do II wojny światowej”.

Tak – do demokratycznej cywilizacji Niemiec roku 1979 – nazwę tego wydarzenia pretranslował również Alfred Spiess, lub jego wydawca, który zresztą wziął tytuł swojej książki raczej nie z tekstu Hitlera, ale z obowiązującej już wtedy na świecie mainstreamowej terminologii podręcznikowej. Z nazwą własną „prowokacja gliwicka” nie ma sensu już wojować, choć trzeba pamiętać, że ta nazwa fałszuje interpretację nazywanego przez się wydarzenia. Jednakże z etykietą zastępczą tej nazwy, czyli z „pretekstem do II wojny światowej” nie możemy się pogodzić w żaden sposób. Przede wszystkim dlatego, że katastrofalnie i wręcz groteskowo fałszuje historię świata. Podobnie jak pierwsza część tytułu omawianej książki: „~~Unternehmen Tannenberg~~”.

³⁰ Cyt. za: L. Moczulski, *Wojna polska*, wyd. poprawione i uzupełnione, Warszawa 2009, s. 558.

Podsumowanie

Celem szczegółowym tego referatu jest sprostowanie niektórych mitów, narosłych wokół prowokacji gliwickiej. Wybierając po dwa aspekty do każdego z pięciu punktów widzenia (wiele innych zawiera przywoływana tu wielokrotnie książka pt. „Provokado“) wskazano, że polska historiografia, zajęta obecnie wypełnianiem pozostawionych przez PRL białych plam, dotyczących ZSRR, powinna również krytycznie przyrzeć się wszystkim ustaleniom na temat Niemiec. Okazuje się bowiem, że nawet hitlerowskie zbrodnie – mimo wszelkich możliwości – nie zostały w PRL porządnie zbadane, a wiele podręcznikowych interpretacji uniemożliwia młodym Polakom zrozumienie dziejów świata. Udowodnienie na konkretnym przykładzie potrzeby zweryfikowania całej historiografii polskiej jest celem ogólnym referatu.

Streszczenie

Prowokacja gliwicka była w istocie użyciem języka jako broni, a radia – jako środka przenoszenia. W badaniach nad tym wydarzeniem nie można więc ograniczać się do klasycznego aparatu naukowego historii, a opis powinien być syntezą studiów szczegółowych i przyczynków, wypracowanych na gruncie relewantnych dyscyplin (w tym wypadku) pomocniczych. Te dyscypliny to przede wszystkim językoznawstwo, radiotechnika i kryminalistyka. Przedstawiono tu wyniki badań, prowadzonych z wykorzystaniem metod, stosowanych tych właśnie dziedzinach.

Przedmiotem – omówionych w tym eseju – badań jest też recepcja prowokacji gliwickiej w świadomości szerokiej publiczności choć trochę zainteresowanej historią. Wyniki tych – na razie wstępnych – badań pokazują, jak wielkie spustoszenia w świadomości historycznej poczyniło niestaranne prezentowanie ważnych wydarzeń historycznych. Autorzy wielkich syntez i podręczników nie dysponowali opracowaniami zagadnień szczegółowych, bo nikt ich przez całe pokolenia nie sporządzał. Stąd też i te syntezy zawierają nie tylko pomyłki faktograficzne, ale – przede wszystkim – błędnie interpretują całe procesy dziejowe.

W szczególności – pokazano tu, że anglojęzyczna narracja, oparta na (pozbawionym krytyki źródła) cytowaniu dokumentów norymberskich, ukształtowała światową, również polską, błędną percepcję prowokacji. Było to kształtowanie przez zniekształcanie. Gliwicki incydent opisano karykaturalnie, nie dociekano prawdziwych celów Hitlera i za prawdę przyjęto to, co sam Hitler mówił. W dodatku do dziś wielu historyków – w dobrej wierze – operuje terminologią i argumentami Hitlera i Stalina, nie dostrzegając, że zakłamane były wszystkie warstwy języka nazizmu i komunizmu.

Sam przebieg napadu na radiostację został szczegółowo wyjaśniony i nie zasługuje na to, by dalej analizować, co kto tam robił. Natomiast wszechstronne i dokładne, interdyscyplinarne zbadanie prowokacji gliwickiej jako elementu wojny medialnej jest ważne dla zrozumienia samej istoty totalitaryzmu, sięgającego przez radio do ludzkich umysłów właśnie totalnie: do języka, do motywacji, do świadomości i do podświadomości. Nie jest ważne, jak popełniono zbrodnię w radiostacji, ale – jak poprzez radio realizowano zbrodnię totalną. Tego nas uczy prowokacja gliwicka i to jest najważniejszym wynikiem interdyscyplinarnych badań nad różnymi aspektami tego wydarzenia.

Nota o autorze

Andrzej Jarczewski od roku 2005 jest kierownikiem Muzeum Historii Radia i Sztuki Mediów – Radiostacja Gliwice. Z wykształcenia jest językoznawcą oraz inżynierem elektronikiem. W niniejszej pracy wykorzystuje również swoje doświadczenia w roli świadka i podsądnego w licznych procesach.